

Warszawa dnia 21 Czerwca / 3 Lipca 1867 roku.

Nr 27. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.

STANISŁAW KONARSKI.

przez

Leona Rogalskiego.

Stanisław Hieronim Konarski, urodził się w Krakowskiem we wsi Zarzycu, 30 Września 1700 roku, z ojca Jerzego kasztelana Zawichostskiego. Początkowe nauki odbywał w szkołach księży Pijarów. Utraciwszy w młodym wieku rodziców, idąc za przykładem dwóch starszych braci, w siedmnastym roku życia wstąpił do zgromadzenia Pijarów w Podolińcu na Śpiżu. Ukończywszy przepisane nauki, uczył kleryków wymowy i języka łacińskiego. Po kilku latach początkowego zawodu nauczycielskiego, przeniesiony został do Kollegium Warszawskiego na profesora poezji, zkąd w 25 roku życia, za wolą i kosztem wuja swego Jana Tarły Biskupa poznańskiego, był wysłany na dalsze nauki do Włoch. W Rzymie przepędził cztery lata na własnem doskonaleniu się, a przez dwa ostatnie wykładał naukę wymowy i historji w kollegijum Pijarów tak nazwanem Nazareńskim. Tu ucząc i ocierając się o ludzi uczonych, poznał całą niedołężność owoczesnego wychowania publicznego w Polsce i zamierzał za powrotem do kraju, zreformować je w zgromadzeniu swojem, a następnie w narodzie. Do uskutecznienia tego zamysłu obrał dwa środki: to jest usposobienie zdolnych nauczycieli w zgromadzeniu księży Pijarów i obalanie pismami przesądów i uprzedzeń wiekami wkorzenionych.



Rozważywszy atoli, że kollegja Pijarskie w porównaniu do Jezuickich były i nieliczne i tylko od ubogiej młodzieży uczęszczane, a zatem nawet najlepiej pod względem nauk zreformowane, nie prędkoby i nie powszechnie na podniesienie oświecenia w kraju, w którym wszystko od przykładu z góry zawisło było, wpłynąć mogły, postanowił na sam przód założyć szkołę wzorową dla synów bogatszej i wyższej szlachty, pod nazwiskiem *Collegium nobilium*. Wzór takiej szkoły zastał w *Collegium Nazarenum* w Rzymie, kosztem rządu założonem i utrzymywanem. Opi-

sawszy więc najdokładniej cały skład tego kollegium, tak co do wewnętrznego rządu jako też wykładu nauk, przesłał najprzód opis ten ówczesnemu Prowincjałowi zgromadzenia Pijarów do Warszawy, stawiając mu przed oczy, jak wielką przysługę uczyniłby krajowi, gdyby podobny konwikt w Warszawie założył. Prowincjał pochwalił wprawdzie projekt Konarskiego, ale zarazem oświadczył mu, że szczupłość miejsca i brak funduszów, nie dozwoliły kollegium warszawskiemu myślić o uiszczeniu zbawiennego zamiaru.

Z Rzymu Konarski wyjechawszy, zwiedził znaczniejsze miasta włoskie i udał się do Paryża, gdzie zabrał znajomość z uczonymi, a między innymi w poufałej był zażyłości ze sławnym Fontennelem. Przebywszy półtora roku w Paryżu, powrócił Konarski do ojczyzny. Doskonalenie się jego miało za cel jedyny, stać się użytecznym krajowi wiadomościami nabytemi za granicą.

Widząc, iż do niepomyślności narodu przyczynił się także brak księgi praw, której nie zastępował nawet zbiór dokładny wszystkich statutów i konstytucji, pod powagą rządową zebranych i wydanych, przez co dla pieniactwa otwarte stało pole, Konarski postanowił statuta i porozpraszane pojedyńcze konstytucje od Kazimierza Wielkiego począwszy, w jedno dzieło zebrać, a tem samem nader gwałtownej zaradzić potrzebie. Gorliwie tem przedsięwzięciem zajęty, przy pomocy i spółdziałaniu Józefa Andrzeja Załuskiego Biskupa kijowskiego, wydał w roku 1732 tom pierwszy statutów i ustaw ogłoszonych w języku łacińskim, umieszczając na jego czele, rozprawę o historji prawodawstwa polskiego. W następnych latach aż do roku 1739, w którym tom szósty wyszedł, zamiar swój całkowicie uskutecznił. Ten zbiór Konarskiego, z przyłączeniem dwóch tomów konstytucje aż do r. 1780 zawierających, znany pod imieniem *Volumina legum*, jest szacownym składem praw polskich, który chociaż od władzy zwierzchniczej za urzędowy wyraźnie uznany nie był, powszechnie go jednak za takowy przyznawano i używano. Zbiór ten przedrukowano roku 1861 w Petesburgu.

W tychże czasach gdy jeszcze rozstrzygnionem nie było, komu się dostanie korona polska po śmierci Fryderyka Augusta II zmarłego roku 1733, Konarski poszedł za sprawą Leszczyńskiego Stanisława. Udał się zatem z królem Stanisławem do Lotaryngji, zkąd jednak po uspokojeniu rzeczy, stęskniony powrócił w roku 1748 do kraju i odtąd usunąwszy się od wszelkich spraw politycznych, tem gorliwiej i skuteczniej pracował nad orzeźwieniem dobrego smaku i rozszerzeniem prawdziwego światła.

Tegoż jeszcze roku wydał pismo na obronę nowo założonego w Wilnie kollegijum pijarskiego, przeciw Jezuitom tamże Akademję utrzymującym. W roku 1739 będąc professorem wymowy w kollegijum Krakowskiem, a roku 1740 w Rzeszowie, okazał się wzorowym nauczycielem, a kształcąc przez dwa lata młodych pijarów, obeznawał ich ze wszystkiemi użytecznemi naukami, ze sposobem ich wykładu i zaszczepił w nich smak dobry. Usposobionych tak przez siebie, nastręczał młodzieńcom wysokiego rodu wysyłanym od rodziców swoich za granicę, za towarzyszów podróży i dawał im sposobność nie tylko wydoskonalenia się w różnych naukach i umiejętnościach, ale też i do obeznania się ze wszystkiem, co gdzie było dobrego i w kraju swoim naśladowane być mogło. Prócz tego z funduszu trzech tysięcy dukatów, złożonego na ten cel przez starszego brata swego Ignacego Konarskiego i Samuela Wysockiego Pijarów, wysyłał do Anglji, Francji, Włoch i Niemiec po dwóch młodych pijarów, przepisawszy im czem się w tej naukowej podróży zajmować mieli. Uważał naprzód do jakiego rodzaju nauk miał każdy z wysyłanych zdolność i skłonność i te kraje wyznaczał dla niego, w którychby więcej sposobności znajdował ćwiczenia się w swojej nauce. Szczególniej zaś zalecał wszystkim, aby uwagę zwracali na sposób wychowania młodzieży za granicą tak w szkołach publicznych, jako też po domach prywatnych. Po powrocie do kraju każdy z młodych tych nauczycieli musiał złożyć opis miejsca które widział, zakładów naukowych i sposobu wykładania w nich nauk. Nie przestając na tem, Konarski postanowił zaszczepić w zgromadzeniu swojem znajomość i zamiłowanie języka greckiego i w tym celu uprosił uczonego lekarza Mislera de Kolof, aby sześciu młodym Pijarom warszawskim naukę tego języka udzielił.

W roku 1741 ułożył Konarski Gramatykę języka łacińskiego, która jako łatwiejsza od nader trudnego a zalecanego przez Jezuitów Alwara, po szkołach używana była z korzyścią. W tymże roku wydał dzieło pełne zasad wyczerpanych z dokładnej znajomości pisarzy klassycznych, tak starożytnych jako i późniejszych, o poprawie błędów wymowy: *De emendandis vitiis eloquentiae*. W niem wytyka śmieszność i czczość ówczesnego stylu przeładowanego najwyszukańszemi wyrazami, fałszywą erudycję, pstrociznę bez myśli i bez ładu. Dzieło Konarskiego znalazło wielu przeciwników zwłaszcza pomiędzy Jezuitami, którzy częścią z zazdrości że reforma nauk i szkół w Polsce nie z ich zgromadzenia wychodziła, częścią też z nawyknienia do przestarzałych przesądów, usiłowali nieudolnie zbijać niewzruszone niczem prawdy i prawidła dobrego smaku, które Konarski w dziele tem podawał. Znalazło przecież i możnych obrońców, i niemało przyczyniło się do rozszerzenia rozsądnych wyobrażeń i dobrego smaku.

W latach następnych podczas trzyletniego prowincjalstwa Konarskiego, szkoły pijarskie reformowały się szybko, w miarę przybywania do nich usposobionych za granicą nauczycieli i ukształconych od tychże młodych pijarów. Szkoły w Warszawie, Podolińcu, Rzeszowie, Radomiu, Piotrkowie, Łowiczu, Międzyrzeczu, najpierwiej uległy zbawiennej reformie; niebawem nowy plan i tryb nauk zaprowadzono i po innych szkołach pijarskich.

Konarski otworzył roku 1740 konwikt dla młodzieży szlacheckiej, *Collegium nobilium* w Warszawie, a fundament do nowego na ten cel gmachu, założył w roku 1743. W tym instytucie z dobranymi z całego zgromadzenia nauczycielami, kształcąc młodzież pierwszych w narodzie domów, stał się wskrzesicielem nauk i oświecenia pomiędzy ziomkami. Pomimo wielkiego genjuszu, pomimo rzadkiej wytrwałości, niebyłby wszakże reformy szkół w zgromadzeniu swojem przeprowadził, gdyby go nie wsparły związki krwi z pierwszemi w kraju domami. Te związki dostarczyły mu funduszów na zamierzone dzieło: te same związki zasłoniły go przeciw prześladowaniu, na jakie był

narażony we własnem nawet zgromadzeniu. Zarzucano później Konarskiemu, że wiedziony przykładem obcych krajów, wprowadził osobną edukację młodzieży majętniejszej szlachty, przez co w młodocianym zaraz wieku zaszczepił przedział pomiędzy rozmaitemi klassami obywateli. Miał atoli słuszne powody zaczynając poprawę wychowania od szlachty, jako głównie w owe czasy kierującej sprawami kraju. Ta bowiem za młodu otrząśniona z przesądów, zaszczepiała samem obcowaniem pomiędzy niższemi stanami nasiona nabytych wiadomości i wyobrażeń, rozszerzając wszędzie wykształcenie ogólne i przysposabiając zwolna umysły wszystkich do przyjęcia prawdziwego światła; podobneż konwikty założył w tymże czasie w Wilnie i we Lwowie. *(Dokończenie nastąpi).*

DZIECIĘ W SZPITALU.

W jednym z szpitali starannych,
Znalazł się w sali—przy rannych,
Na podziw śliczny chłopczyna,
To matka przyniosła syna;
Bo choć już biegał nieboże,
Jednak przyjść sam dziś nie może
Bezwładną chorą swą nóżką...
Gdzieś przy zabawie w swawoli
Upadł i nóżka go boli.
— A kiedy usiadł na łóżko,
W zabawki patrzył się dziwnie;
To główką z żalem w dół kiwnie,
To konia ściągnie uzdeczką,
To w matkę spojrzy litośnie:
Wszakże on dotąd w swej wiośnie
Nie miewał łóżka — łożeczko!..
— Ale dziś matka powiada,
Że jako starsi, stateczni
Leżeć spokojnie wypada
I jak najciszej, najgrzeczniej!..
I poszła — w domu z jej ręki
Nie miał dozoru maleńki,
Bo jej zarobek nie w domu.
— Więc chociaż łkał pokryjomu,
Gdy twarz jej we drzwiach znikała
I płacząc niby się śmiała...
Jednak się ocknął chłopczyna,
Żywo wykręca się wszędy,
A taki rad do gawędy,
Takim być miłym zaczyna,
Tak ślicznie zna abecadło
I tak twarzyczką pobladłą
Roskosznie jakoś szczebiota,
Że ta niewinna ochota
Jak gwiazdka tryska dokoła
I... bólem zorane czoła
Wszystkich co w sali cierpieli,
Unosiły się z pościeli
I... jako gość zabłąkany,
Błysł na nich dawno nieznany
Uśmiech... a usta szeptały:
„Jaki to miły ten mały!"
Kiedy tak przy swej poduszce,
Dzwoni jak piosnką słowika
I już zapomniał o nóżce—
Ktoś się zapyta medyka:
„A z nim co będzie, doktorze?"
„Ha, nogę utracić może...
„Kość ma strzaskaną przy stawie,
„Gangrena ima się prawie"
— Więc pytań znikła ochota,
A chłopczyk — dalej szczebiota...
Tylko mu dziwno że chorzy
Patrzą nań jakoś litośnie,
I choć go boli nie gorzej,
Jednak mu noga wciąż rośnie...
— O straszna chwilo przejrzenia!
Co ciebie czeka maleńki?
Czy jasny dzień przesilenia,
Czy z stratą nóżki dni męki;
Czy może z męki, gdy skromnie
W ostatniem spoczniesz posłaniu,
Ksiądz ci zaśpiewa w żegnaniu:
„*Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie*"?
— Lecz jeśli ta pieśń cię mami,
Jeśli twym krajem, niebieski—
Po cóż niewinne mąk łezki
I po cóż cierpisz tu z nami?

Józef z Mazowsza.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 26).

Zerwałem się na równe nogi i zwróciłem się w tę stronę, z której śmiech uszu dochodził, przekonany, że to czarnoksiężnik chce stanąć ze mną do walki.

Spostrzegłem przed sobą po pańsku ubranego mężczyznę i zamiast występować z nim do boju, jak do tego byłem przygotowany, onieśmielony nagle i ociemniały, skłoniłem mu się do kolan.

— Cóż ty tu robisz?—zapytał mnie z łagodnym uśmiechem.

Łagodność ta ośmieliła mnie cokolwiek.

— Chciałem prosić wielmożnego pana o kawałek chleba i o nocleg—odrzekłem.

— I zdawało ci się, żeś wszedł do zaczarowanego pałacu?

— Ha cóż?... zdawało mi się, bom jeszcze takiego pałacu nigdy nie widział.

— I myślałeś, żeś zobaczył zaklętą królewnę w tym obrazie?...

Rzuciłem okiem na postać, do której klęcząc przemawiałem. Był to w istocie obraz umieszczony na sztalugach, przedstawiający jakąś mitologiczną postać, czego z powodu zmierzchu i zupełnego braku pojęcia o sztucze malarskiej, a nadto mistrzowskiego wykonania, mogącego prawdziwie złudzić oko, nie spostrzegłem.

— Więc to... malowane?—rzekłem niedowierzając jeszcze.

— A malowane... czekaj, przypatrzysz się przy świetle.

Przyjrzałem się obrazowi i ze zdumieniem przekonałem się, że ludzie mogą malować osoby takie jak żywe, a nawet piękniejsze od żywych. Dotychczas znałem tylko obrazy świętych po chłopskich chatach i po kościołach ubogich, żaden z nich jednak nie wydawał się tak pięknym, żaden nie złudził mnie do tego stopnia.

— I to można malować tak przeszlicznie?.. mówiłem nie mogąc oczu oderwać od obrazu, — a toż ta pani zupełnie jak żywa i uśmiecha się do mnie i zdaje się zaraz przemówi.

— A przecież wszystko to malowane tym oto pę-

dzlem i temi farbami—rzekł patrząc mi mile w oczy pan, w którego byłem mieszkaniu.

— Oh! jakżebym ja chciał tak malować—zawołałem.

Pan u którego byłem popatrzał na mnie, pomyślał chwilę i rzekł potem:

— Poczekaj, może to jakoś będzie... więc chcesz kawałka chleba i noclegu?

— Tak jest, jeżeli łaska wielmożnego pana— odpowiedziałem.

— A masz pieniądze?...

— Pieniądze?... nie mam grosza przy duszy.

— W tamtym pokoju—rzekł znów pan wskazując pokój z którego wyszedłem,—leży tyle pieniędzy na stole... czemuż sobie nie wziąłeś?

— Nie wiedziałem czy to moje, czy nie.

— Jakto nie wiedziałeś czy twoje?

Z całą szczerotą dziecka odpowiedziałem na to zapytanie com myślał widząc pieniądze.

Słysząc znów o zaczarowanym pałacu, czarnoksiężniku i zaklętej królewnie, pan ów uśmiechał się wesoło i łaskawie na mnie spoglądał.

Gdym skończył kazał mi dać jeść i pić, a potem wymyć mnie i przebrać i posłać mi w swym sypialnym pokoju.

Skoro się tylko uczułem na tak miękkiej pościeli na jakiej nigdy w życiu nie spałem, zmęczony usnąłem natychmiast.

Nie budzono mnie wcale i nikt o nic więcej się nie pytał.

Nazajutrz dopiero rano gdym się obudził, mój gospodarz tylekroć gościnniejszy od Kowala z Wólki, zaczął zemną długą rozmowę.

Kazał mi opowiedzieć co jestem za jeden, zkąd się wziąłem w Warszawie, co z sobą robić myślę; zadawał mi mnóstwo pytań, a na wszystkie wymagał prostej i prawdziwej odpowiedzi.

Ponieważ mi chętnie przyrzekł, że mnie do ojczyma mojego i do lasu nie odeszle, więc mu opowiedziałem wszystko jak było, a widziałem że tego słuchał z wielkiem zajęciem.

Gdym skończył swoją historją, pan ów zapytał:

— A chciałbyś ty się uczyć?...

— Malować? — zapytałem bez namysłu.

— Malować, czytać, pisać, rachować, wszystkiego czego człowiekowi potrzeba.

— Oh! wielmożny panie— odrzekłem na to, toż to całe moje zmartwienie, że jestem w takiem wielkiem mieście gdzie sami panowie mieszkają, a ja taki głupi i nic nie umiem, tylko się patrzéć i dziwować.

— No, to wyrysujże mi co. Patrzaj, robi się tak jak ja.

To mówiąc wziął ołówek i na kawałku papieru kilkoma śmiałemi zarysami w mgnieniu oka narysował głowę chłopaka.

Spojrzałem na nią i zdawało mi się, że się w lusterku przeglądałem.

— Olaboga! to ja!— krzyknąłem uszczęśliwiony.

— Poznałeś się, to nie zły znak... no, a teraz sprobój coś ty.

Nigdy nie miałem ołówka w ręku, pierwszy raz w życiu dowiedziałem się, że z drobnych kresek napozór bez ładu stawianych może coś powstać podobnego do ludzi, posłuszny jednak woli tego dobrego pana, wziąłem się do roboty i z całą niezgrabnością pierwszej próby, narysowałem coś podobnego do wilka. Podczas tej pracy tak mi się przypomniała oswobodzona wilczyca, że mi się zdawało że na nią patrzyłem rysując.

Nie byłem kontent z mojego dzieła; pan ów jednak zatarł ręce i zawołał.

— Doskonale, chłopcze, wybornie!... masz oko, masz talent!...

Spojrzałem na niego i na siebie, nie rozumiejąc co powiedział. Co do oka nie miałem wątpliwości: miałem nie jedno, ale dwa—tylko talentu upatrywałem na sobie i około siebie. Nie rozumiałem jeszcze tego wyrazu.

Od tej chwili pan, do którego zakołatałem przez los do drzwi jego doprowadzony, zajął się mną gorliwie i sposobność do wielkich nauk mi nastręczał.



Lasy Brezelijskie (Drzeworyt paryzki).

Chociaż wchodząc do jego mieszkania wziąłem je za pałac zaczarowany, pan ten był tylko miernej zamożności artystą, który wszystko co miał pracy swej i talentowi zawdzięczał. Byłbym mu też pewno ciężarem, gdyby przez stosunki swoje nie znalazł ludzi możnych, którzy chętnie mu dopmagali i na moje wykształcenie łożyli.

Tym sposobem wyszedłem na artystę z powołania. W dwudziestym roku życia nie potrzebowałem już być nikomu ciężarem, praca moja dodawała mi chleba poddostatkiem. W gazetach zaczęto o mnie pisać że mam talent, że mam świetną przyszłość przed sobą. Wszyscy mi radzili pracę, naukę, studja; byli nawet tacy co się bać zaczynali o mnie, żeby mnie pierwsze powodzenia nie popsuły, żebym nie wpadł w zarozumiałość i za skończonego się nie uznał.

Były to obawy płonne. Nie jest to moją zasługą, że pracę polubiłem, że do nauki wszelkiej mam zdolności i znajduję w niej przyjemność, a szukania przyjemności nazywać zasługą nie potrafię. Zarozumiałym także być nie mam z czego. Zawodem moim jest sztuka, którą ukochałem—sztuka trudna, w której chociażbym wzniósł się kiedyś tak nawet wysoko jak o tem dzisiaj marzyć tylko mogę, jeszczebym nie mógł powiedzieć że jestem skończonym, bo zawsze mogliby być i byliby z pewnością mistrzowie doskonalsi odemnie.

Nie o tem przecież chciałem mówić, a więc powracam do rzeczy.

Z nabywaną codzień nauką, ustąpiła naturalnie przesądna wiara w planetę. Wyszedłszy na człowieka, chociaż się urodziłem pod znakiem barana, przestałem bardzo prędko myśleć o wilczycy i bać się jéj zębów.

Kiedym wspomniał o mojem dziecięctwie i porównywał swoją dawniejszą dolę z obecną, zawsze jedno przychodziło mi na myśl:

— Czybym ja też wyszedł kiedy na ludzi, gdybym był tej wilczycy z żelaz nie wypuścił i gdyby mnie mój ojczym za to z domu nie wypędził?...

Na to pytanie odpowiadałem sobie:

— Ha! może... To tylko pewna, że nigdybym nie doszedł ani do takiej nauki, ani do tego pojęcia sztuki, zamiłowania jej, które mi teraz tyle i tak szlachetnej sprawia rozkoszy.

Ztąd czułem prawdziwą wdzięczność i dla wilczycy i dla mego ojczyma i postanowiłem wdzięczność tę okazać, kiedyś przynajmniej Marcinowi Wilkowi, kiedy wilczycy wywdzięczyć się nie było podobna.

Jak tylko praca moja zaczęła mi przynosić jakiś dochód, zacząłem ten dochód dzielić na trzy części. Jedną z nich przeznaczyłem na opędzenie moich potrzeb, a przywykłemu do biednego życia od lat dziecięcych łatwo mi się było nią obejść; drugą składałem na podróż do Włoch, dla uzupełnienia mego artystycznego wychowania; trzecią postanowiłem oddać memu ojczymowi i macosze, aby im choć cokolwiek dopomódz w starości.

Powodziło mi się wybornie i dwie moje skarbonki coraz bardziej wypełniały się pieniędzmi.

W dwudziestym drugim roku życia, a zatem we dwanaście lat od czasu opuszczenia domu ojczyma, zdarzyło mi się, żem miał zabawić czas jakiś w zimie, w jednym domu obywatelskim o kilka mil tylko odległym od mojego rodzinnego miasteczka.

Naturalnie nie pominąłem tej sposobności odwiedzenia opiekunów mojej młodości i skorzystałem z pierwszego dnia, którym mogłem rozporządać, ażeby udać się do nich.

Dzień był zimny i wietrzny, droga prowadziła prawie przez same lasy—te lasy, które niegdyś przebyłem pieszo bez kawałka chleba, bez dostatecznie ciepłej odzieży, mając przed sobą tylko straszną niepewność, a za sobą tylko przerażające drapieżnych zwierząt widziadła. Na każdym kroku jaki odbyć miałem w tej drodze, czekały mnie wspomnienia, które dziecięca wyobraźnia okropnemi głoskami zapisała w mojej pamięci.

Coś mnie ciągnęło do tych wspomnień, do tej strasznej przeszłości, z której tak szczęśliwie wybrnąłem, do tych ludzi, którzy mnie odepchnęli, a odepchnięciem wyrzucili na drogę, którą tak daleko zaszedłem.

Obywatel u którego bawiłem, odesłał mnie bryczką, dając mi za woźnicę jednego ze swych ludzi Michała, znającego doskonale las, przez który jechać mieliśmy.

Szczęśliwy byłem z tej jego znajomości dróg i drożyn leśnych, nie myślałem bowiem jechać prosto, lecz w tej podróży chciałem sobie przypomnieć wszystkie wrażenia mojej młodej wędrówki, odwzorować w pamięci przygody jakich wówczas doznawałem, uczucia jakie mną miotały, ścigające mnie na każdym kroku obawy i mglisto, niewyraźnie w dali rysujące sie nadzieje. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

LASY BREZYLIJSKIE.

Na każdym kroku, bezwątpienia widzimy rozliczne twory cudnej Przyrody, przedstawiające nam Wielkość i Wszechmoc Stwórcy wszech świata, ale gdy spojrzymy na wspaniałą Przyrodę Ameryki zwłaszcza też południowej, gdy przypadkiem znajdzie się jaki wędrowiec w Brezylji, największej i najpiękniejszej z jej krain, pomimowolnie chociażby był poganinem, ukorzy się i schyli swe dumne czoło przed Stwórcą tych rzeczy, pozna i z pokorą uzna Jego potęgę a swoją nicość, lub tylko drobność w porównaniu z Istotą najwyższą. Słusznie też Brezylja „rajem nowego świata” przez wielu jest zwana. Wszystko bowiem (wedle opisu jednego z podróżników) cokolwiek najbujniejsza wyobraźnia odmalować i wytworzyć sobie zdoła, znajduje się w tym kochanym od Natury kraju.

Mimo wspaniałych roślin, rozmaitych gatunków ptastwa i zwierząt—Brezylja obfituje we wszystko. Ale naj-

większy wzbudza podziw podróżnych, widok przedzwrotnikowych jej lasów, nie tkniętych ręką ludzką, pełnych uroku i wdzięku, zawsze świeżych i młodych, chociaż istniejących od stworzenia świata. Ciągną się one w płaszczyznie północnej, od ujścia Amazonki, największej z rzek w świecie, do przylądków Andyjskich i obfitują w najkosztowniejsze drzewa jak: brezylją, około 50 gatunków cedru, w palmy które dochodzą olbrzymich rozmiarów, w drzewa kokosowe, daktylowe, oliwne i wiele innych roślin, uzupełniających ten piękny, a nawet zachwycający obraz Przyrody.

Z obcych przywożonych tu roślin, wybornie udaje się kawa, trzcina cukrowa, kukurydza, pszenica, jęczmień i wszelkie jarzyny europejskie. Bujność roslinności w tych lasach, czyni je tak gęstemi, że z wielką trudnością można przez nie podróżować. Pomagają jednak wiele w podróżach liczne rzeki, jedyne drogi wśród lasów Brezylijskich, wpadające do Amazonki. W niektórych miejscach nad wodą, stojące drzewa tworzą gęste zielone okrycia z liści i gałązek i miłym chłodem orzeźwiają nieraz znużonego wędrowca. Miejscami zaś po brzegach rzek stoją krzaki ogromne, w których często ukryty tygrys lub jaguar, czatuje na zdobycz;—takiemu bowiem bogactwu królestwa roślinności odpowiada i królestwo zwierząt. Nie widać tam wprawdzie tak kolosalnych kształtów zwierzęcych jak w Afryce, ale natomiast piękność form i barwy, znacznie jest przeważającą. Między drapieżnemi zwierzętami, na główniejszą wzmiankę zasługują szczególniej tygrys i lew.

Kuguar czyli lew amerykański 4 stopy długi, z ogonem kiściastym długim 2 stopy, mniej jest strasznym rzucaniem się na ludzi, niż na stada bydła i owiec, zaczaiwszy się na nie w dolinach. Ścigają go za pomocą wielkich psów i strzelają lub też zarzucają mu na głowę stryczek i dopóty włóczą, dopóki go nie uduszą.

Niebezpieczniejszym dla ludzi jest Jaguar vel Tygrys amerykański, 4 do 5 stóp długi. Przebywa on głównie około wielkich strumieni, w które jako doskonały pływak rzuca sią śmiało, chcąc dostać przeciwległego brzegu, lub czuwa na przechodzącą zdobycz, ukryty na drzewie.

Do zwierząt leśnych, które z głębokiego lasu nad rzeki często przychodzą, aby się u nich wykąpać lub napić wody, należy także Tapir. Należy on do zwierząt gruboskórnych trzypalcowych i odznacza się od innych szczególnym nosem, wyciągniętym w ruchomą trąbkę i twardą sierścią pokrytą; tapiry są największemi zwierzętami ssącemi w Ameryce południowej. Indjanie łapią je często w umyślnych dołach, w które one uciekając wpadają po drodze, lub też ścigają je psami. Jeżeli się zaś dostaną do rzeki, wtedy z wielką szybkością w niej pływają pod wodą, ratując się w ten sposób najpewniej od nieprzyjaciela. Oprócz tych zwierząt większych drapieżnych, lądowych znajdują się w Brezylji i inne ziemnowodne zwierzęta, a głównie węże strasznie jadowite i mniej szkodliwe. Roje najrozmaitszych gatunków żółwi, snują się tu i owdzie po lasach, a ich mięso jest najulubieńszym przysmaczkiem krajowców. Każdy poranek zapowiadają tysiączne wycia małp, żegotanie żab i ropuch, wtórujących sobie naprzemian; stubarwne kolibry zaś, piękną swą barwą upiększają kwiaty różnokolorowe. W południe dopiero, gdy upał słoneczny najwięcej dokucza, wszystkie prawie zwierzęta kryją się w swe nory, a ptaki w gęstwinie drzew szukają spoczynku i chłodu. Taki stan ciszy trwa zwykle do zmierzchu, a wieczorem na nowo wszystko budzi się do wrzawliwego i ruchliwego życia.

Obok przeto przecudnej i bogatej we wszystko Przyrody, lasy brezylijskie nadzwyczajnie są niebezpieczne dla podróżnika, z powodu właśnie tak znacznéj ilości dzikiego zwierza, którego pastwą bardzo się łatwo stać można.

W północnej zaś Ameryce, chociaż także są wielkie równiny zarosłe lasami, to jednak nie są one ani w części tak gęste i prawie nie do przebycia, ani tak różnorodne jak lasy brezylijskie. W północnéj bowiem Ameryce, rosną prawie tylko jedne drzewa liściaste, jak kilkadziesiąt odmian dębu, buku i t. p. Stepy amerykańskie podobnie jak lasy, przechodzą także swą obszernością podobne stepy innych części świata i przedstawiają się jakby jedno rozległe morze trawy. W suchy czas roku, kiedy niebo długo nie pokrywa się chmurami, wszystka trawa pokrywająca stepy, od silnych promieni słońca schnie i rozsypuje się prawie zupełnie w proch, wicher z gwałtowną wściekłością unosi ten pył w powietrze tworząc jakby obłoki, a kurz ztąd powstały dusi nieraz zabłąkanego wędrowca wśród stepów. Lecz za to jak tylko świeży deszczyk ożywi spragnioną ziemię, zaraz cała natura zrzuca niejako już na w pół martwą swą szatę i na nowo wprowadza w podziw tym większy swą bujną wegetacją, że przed chwilą zostawała jakby w odrętwieniu. Różne plemiona zamieszkując te okolice Ameryki Południowej, równie jak otaczająca ich natura, są prawie niedostępnemi dla osiadających tam Europejczyków rozszerzających między niemi światło Europejskiej cywilizacji. Żyją oni bowiem głównie w niedostępnych miejscach wśród lasów i prowadzą życie koczujące. Polowanie i wojowanie z sobą są u tych plemion ulubionem zajęciem, do pracy bowiem użytecznej mają wstręt i oddają jej się tylko o tyle, o ile do tego zniewala ich konieczna potrzeba utrzymania życia.

Dzikość zwierzęca i różne inne ujemne przymioty, jak łakomstwo i chciwość, są jeszcze ich najwybitniejsze cechy.

Kiedy bowiem ojciec rodziny wróciwszy z pomyślnych łowów, przyniesie jaką zwierzynę do domu i kobiety zaledwie ją przy ogniu przypieką, a już zaraz z niepohamowaną żarłocznością chwytają surowe zupełnie jeszcze mięso, rozrywają je zębami i tak wydzierając je sobie, nawzajem spożywają. Stan przeto tych ludzkich stworzeń zbliża się niejako do dzikich zwierząt, wśród wspaniałej i tak pięknej Przyrody, atoli niedługo zapewne i ich dosięgną ożywcze promienie cywilizacji i wkrótce zdołają w nich rozbudzić dotąd iskierkę wyższego, szlachetniejszego życia. *Kazimierz Mejer.*

Listy z podróży na wystawę paryzką.

V.

Paryż, 7 Maja 1867 r.

Kilka dni temu obchodziliśmy z panem Pawłem galerję surowych produktów. Mnóstwo ciekawych okazów, płodów naturalnych i przerobów chemicznych, przesuwało się przed naszemi oczyma, zmieniając się co chwila, jak obrazki w kalejdoskopie. Co kilka kroków nowy przedmiot zatrzymywał nas przy sobie, nieraz niejednej rzeczy nie mogąc zrozumieć, pytaliśmy się o objaśnienia wystawców. Mimo tej uwagi, którą zwracaliśmy na każdy ciekawszy i bardziej w oko bijący przedmiot, muszę wyznać że ta bytność z panem Pawłem w gmachu wystawy, była raczej przechadzką niż zwiedzaniem i byłbym ją musiał za straconą uważać, gdyby pan Paweł nie zawiązał rozmowy, która mi wiele dała do myślenia.

— Często nie jesteś ze mną jednego zdania, panie Józefie, — rzekł do mnie, i nie mam ci tego za złe. Nie tak długo jeszcze patrzysz na świat jak ja, i wszystko ci się przedstawia za różowo. Ale dzisiaj powiem ci, jaką z przeglądu tej galerji wyniosłem naukę i jestem pewny że mi przyznasz słuszność.

— Ciekawym — odpowiedziałem.

Pan Paweł wyprostował się, wziął mnie za koniec rękawa, zatrzymał i tak zaczął, z jakąś cokolwiek komiczną powagą:

— Ta galerja uczy nas rzeczy nie nowej zresztą, że wiele rzeczy na tym świeciejest nie na swojem miejscu.

Zrozumiałem, że pan Paweł zmierza do jakiegoś nowego dowcipu w ulubionym sobie rodzaju francuzkim.

— Dla mnie to przynajmniej zupełnie nowe spostrzeżenie — odrzekłem, i dziś nie zrobiłem go wcale.

— Nie masz jeszcze odwagi krytykować porządek rzeczy na tym świecie—odparł na to pan Paweł, ale to ci z czasem przyjdzie, tak jak mnie przyszło. Przyznaj pan sam, czyby nie było daleko właściwiej, żeby bawełna rosła w Europie nie w Ameryce, kiedy nam daleko więcej niż Amerykanom potrzebna? Na co się zdały przez tyle wieków drzewa kawowe w Arabji, nie mającej dosyć ludności ażeby owoc ich spożytkować i dlaczego my kawę aż stamtąd sprowadzać musimy?... Czy to nie jest wyraźnym nonsensem, że lekarstwo na febrę trzeba sprowadzać z Ameryki, kiedy febra panuje u nas, a bytu nowego świata nikt się nawet nie domyślał przez tyle wieków?... Takich niestosowności możnaby naliczyć tysiące.

W pierwszej chwili nie wiedziałem co odpowiedzieć na te uwagi, tylko mi się w głowie pomieścić nie mogło, żeby pan Paweł miał racją.

— To niepodobna powiedziałem sobie natychmiast, żeby lepiej być miało na świecie gdyby pan Paweł nim gospodarzył, niż jest teraz kiedy sam Pan Bóg gospodarzy.

— No, cóż, widzisz Pan rzekł trymufująco mój towarzysz, przekonałem cię. Na świecie nie jest tak dobrze jak ci się zdaje. A kiedy świat mógłby być lepszym, to i wystawa świata mogłaby być lepszą... nieprawdaż?...

— Jestem człowiek twardego rzemiosła—odrzekłem, i na zręczne zarzuty niezawsze odrazu odpowiedzieć potrafię. Przyznam ci się jednak panie Pawle, że chociaż jeszcze nie rozmyśliłem się dlaczego, ale twoje zarzuty zdają mi się niewłaściwe. Jestem pewny że pomyślawszy chwilkę, będę mógł na nie odpowiedzieć.

— Ho! ho! panie, jesteś zarozumiały—roześmiał się na to pan Paweł, sto lat ludzie myśleli, żeby na ten zarzut odpowiedzieć, a przecież nikt nie odpowiedział. Zdanie które tu powiedziałem, nie moje tylko Woltera. Wolter powiedział to samo:

Bóg, w Mocce, w Arabskiej zatoki głębinie,
Ubogacił w kawę tamte okolice;
Febrę zaś zapuścił w nasz klimat jedynie,
A lekarstwo na nią złożył w Ameryce.

— Bluźnierstwo! zawołałem.

— Tyle też tylko na to odpowiedzieć można, mimo to przecież słuszność przyznać trzeba.

Zamyśliłem się chwilę. Na wystawie w galerji płodów surowych, napotkałem na zdanie bluźniące filozofa mającego wielkie imię. Zdanie to było niby produktem surowym niewiary szyderstwa, przysłanym na pokaz dla świata. Pan Paweł mi powiedział, że ludzie przez sto lat odpowiedzieć nie mogli na to zdanie, zdawało mi się więc niepodobnem, żebym ja na nie odpowiedzieć potrafił, a tymczasem to zdanie, ta szydercza krytyka porządku świata, który jest dziełem Bożem, świdrowało się coraz głębiej w moją biedną głowę. Gdym przyszedł do domu nie mogłem się zająć czem innem, wciąż tylko myślałem o tem, że na świecie mogłoby być lepiej, gdyby go według zasad filozoficznych urządzono.

Myślałem tak przez całą noc. Pan Paweł kilkoma słowy podkopał podstawy mej wiary, a mnie tak przykro było rozstawać się z tą pocieszycielką w twardej i złej doli, że oka zmrużyć nie mogłem, tylko medytowałem nad tem, czy pan Paweł z swoim Wolterem nie powiedzieli czasem głupstwa.

I musiałem gorąco pragnąć żeby mnie Pan Bóg oświecił, bo nazajutrz rano już miałem głowę lekką, już rozumiałem całą niedorzeczność zarzutów pozornie tak uzasadnionych. Była to Niedziela, pośpieszyłem więc co prędzej do pana Pawła, aby i jemu wybić z głowy bluźniercze zdanie, które go złudziło.

— Mam odpowiedź na ów wierszyk Woltera—rzekłem zaraz we drzwiach.

— Ciekawym z uśmiechem odpowiedział pan Paweł.

— Żartowałeś pan chyba—mówiłem dalej twierdząc, że na to ludzie przez sto lat odpowiedzieć nie potrafili. Każde dziecko na to odpowie.

— Ho! ho, każde dziecko!...

— Bo to rzecz prosta i jasna jak dzień! Gdyby świat wyszedł z ręki Woltera, toby zapewne tuż obok chorego rosło lekarstwo na jego chorobę, tuż obok głodnego posiłek?...

— Zdaje mi się, że to byłoby słuszne —odrzekł wahając się cokolwiek pan Paweł.

— Lecz w takim razie niebyłoby nic niedorzeczniejszego nad porządek rzeczy na świecie i rozsądniej byłoby daleko nie tworzyć zupełnie ani choroby, ani lekarstwa, ani głodu, ani posiłku. Gdyby się zaś trzymać zdania Woltera, toby trzeba wprowadzić w wykonanie tę zasadę nie tylko co do lekarstw i posiłku lecz wszędzie. Ktoś ma naprzykład długi, toby powinny mu zaraz rodzić się w kieszeni pieniądze na ich spłacenie. Wolter chciał widać, żeby zdobycie sobie czy to pokarmu, czy to lekarstwa nie kosztowało ludzi pracy i trudu, żeby wszystko mieli pod bokiem byle tylko sięgnąć raczyli, żeby spożywali nie siejąc i nie orząc i nie troszczyli się o nic. Ale pan Bóg chciał inaczej, bo według porządku Woltera człowiek życiem swojem na nic by nigdy zasłużyć nie potrafił— byłby rośliną która w powietrzu, deszczu, cieple i ziemi znajduje wszystko co jej do bytu potrzeba. Pan Bóg chciał, żeby człowiek wszystko był winien sobie, swojej zasłudze, wszystko: życie, zdrowie, wiedzę, dobrobyt. Dlatego na każdym kroku skazał go na walkę i pracę, rozsiał po ziemi tysiące istot większych i mniejszych które życiu jego grożą, tysiące przyczyn które nadwerężają jego zdrowie, puścił go w świat z umysłem nierozwiniętym zupełnie, a za mienie całe dał mu dwie ręce, przy pomocy których kazał mu się chronić od niebezpieczeństw jakie mu grożą, ratować z nich gdy w nie popadnie, zdobywać pokarm i zapasy na przyszłość dla swojego umysłu i ciała. Mnie się zdaje, że taki porządek rzeczy właściwy i dorzeczny, a o Wolterze sądzę, że gdyby mu tworzyć przyszło, toby stworzył machinę ale nie człowieka.

Pan Paweł patrzył na mnie i pozwalał mi mówić, nie przerywając. Nie wiem czy nie miał co odpowiedzieć, czy nie chciał, ale nie chciał także przyznać się do porażki, i kiedym skończył rzekł tylko:

— Prawisz panie Józefie jak kaznodzieja, a jednak przyznaj że to musiał być wielki człowiek ten Wolter, kiedy żeby odpowiedzieć na jego cztery wiersze, aż tyle gadać potrzeba.

Chętnie przyznałem panu Pawłowi, że Wolter był wielkim człowiekiem, chociaż zdawało mi się, że na poparcie jego wielkości pan Paweł wybrał dowód wcale osobliwy.

Nie wiem czy potrzebnie w tym liście wypisałem całą tę rozmowę z panem Pawłem. Może to niebardzo należy do rzeczy i próżno tylko miejsce w Opiekunie zabierze, ale nie mogłem się powstrzymać od powtórzenia tej gawędki, bo kiedym się pozbył klina, który Wolter z panem Pawłem wbili mi w głowę, stało mi się tak miło, że tego nigdy w życiu nie zapomnę. Może tak komu z moich towa-

rzyszy pracy w Warszawie marzy się także, że świat lepiej by wyglądał, gdyby go który z nich na ślusarskim lub tokarskim zrobił warsztacie; to niechże taki zastanowi się nad tem tak jak ja się zastanowiłem, a z pewnością przekona się, że nam ludziom myśleć o krytykowaniu i poprawianiu zaprowadzonego przez Opatrzność porządku nie tylko że się nie godzi, ale się na nic nieprzyda.

W przeszłym liście opowiedziałem rozkład wewnętrzny pałacu wystawy, teraz wypada mi powiedzieć, że nie wszystkie z 41,000 numerów stanowiących katalog mieszczą się w tym pałacu. Są jeszcze kategorje przedmiotów, które dla swej natury musiały być pomieszczone gdzieindziej, po za obrębem gmachu, a mianowicie w parku otaczającym pałac i w osobnym oddziale wystawy na wyspie Billancourt, leżącej na Sekwanie po za fortyfikacjami, na południe od Bulońskiego lasku.

W samym gmachu mieści się siedm grupp przedmiotów, które wyliczyłem w przeszłym liście, po za obrębem gmachu znajdują się jeszcze trzy gruppy.

Gruppa ósma obejmująca produkta i wzory zakładów rolniczych, znajduje się na wyspie Billancourt, częścią zaś w parku gdzie są pobudowane budowle wiejskie rozmaitych narodów. W skład tej gruppy wchodzą narzędzia rolnicze, zwierzęta domowe, bydło robocze, drób, pożyteczne owady: jak pszczoły, jedwabniki, koszenille, ryby, skorupiaki i t. p. oraz wszystko co potrzebne do ich chowu. Za zwiedzanie tej wystawy płaci się oddzielnie, zwiedzaną zaś jest niebardzo licznie, większa część bowiem zwiedzających wystawę woli się przyglądać przedmiotom zbytku, niż rzeczom rzeczywiście pożytecznym. Na wyspie Billancourt odbywają się także dwa razy na miesiąc konkursa narzędzi gospodarskich, zwierząt domowych i roboczych.

Gruppa dziewiąta, a zwiedzenie której także oddzielna opłata jest pobieraną (mówiąc nawiasem te niezliczone dopłaty i opłaty kością w gardle stają zwiedzającym), poświęcona jest ogrodnictwu i mieści: przyrządy ogrodnicze, inspekta, akwarja dla roślin wodnych, aparata do polewania, kwiaty, rośliny, warzywa, drzewa owocowe, nasiona i rośliny, z których wydobywają się essencje i t. p.

Dziesiąta gruppa, mieszcząca się głównie w parku równie jak dziewiąta, gdyż wystawa ogrodnicza jest tylko odgrodzoną częścią parku, mieści przedmioty mające na celu polepszenie moralne i fizyczne warunków bytu ludu.

Powiedziałem już, że liczba wszystkich przedmiotów wystawionych wynosi około 41,000. Wystawcom miano rozdać według przyznania przysięgłych 100 złotych, 1000 srebrnych, 3000 bronzowych medali, oraz 5000 zaszczytnych wzmianek. Liczba ta okazała się zamałą i podniesioną być musiała do 900 złotych, 3000 srebrnych, 6000 bronzowych medali i 6000 pochlebnych wzmianek. Niewiadomo jednak czy i to wystarczy. Medali złotych przyznali już sędziowie 895, zostaje więc 5 tylko; ale zato srebrnych 362 zabrakło i te podobno mają być dodane. Będzie zatem około 16,000 medalem lub pochlebną wzmianką wyróżnionych przedmiotów, a gdybym chciał opisywać te tylko które złote medale podostają, i gdybym po pięć w jednym liście opisywał, tobym jeszcze mojej pracy przez trzy lata nie skończył, bo Opiekun więcej jak jeden list na tydzień drukować nie może. Takim sposobem ograniczyć się muszę na niektórych tylko przedmiotach—na bardzo drobniutkiej cząsteczce tego wszystkiego co tu się znajduje. Sam tymczasem przypatruję się pilnie i uważnie wszystkim przedmiotom, które z mojem rzemiosłem mają związek i których zobaczenie na coś mi się przydać może, a za powrotem oprócz tego co tutaj piszę, będę miał braciom ślusarzom dużo, dużo jeszcze do opowiadania. *Józef Niepowie.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI Opiekuna Domowego.



—*Panu Franciszkowi z Piotr.* Sam autor przyznaje, że jego utwory są niedołężne i w tym razie wcale w słuszności nie przesadził. Są to po prostu ramoty, nie zdradzające żadnego talentu. Szkoda czasu i atłasu — rada tém przydatniejsza, że autor posiada prace wierszowane po 800 i więcéj wierszy liczące. Lepiej wziąść się do pracy poważnej, niż marnować drogi czas zupełnie bezowocnie.

— *Pani K. z nad Wilji*: Niedawno temu, Gazeta Warszawska drukowała obszerny krytyczny rozbiór publicznej prelekcji p. H. Struwego „O estetycznem wychowaniu kobiety“ gdzie należycie zbite zostały niektóre niewłaściwe o naszych kobietach wyrażenia. Co zaś do kwestjionowanego zdania, że te *za mało umieją kochać swych mężów i dzieci*, sądzimy, że prelegent nie mówił tu o ogóle, ale o jakimś wydatniejszym i w oczy bijącym szczególe; bo przyznasz zapewne Pani zważywszy bezstronnie, że obok najzacniejszych żon i matek, niestety, dziś dość często napotykamy i takie, które nie zupełnie godnie odpowiadają tym świętym powołaniom. Mężczyźni wiele winni, to prawda; ale kobieta wypełniająca wiernie swoje obowiązki, kobieta choćby tylko dla samego dobra ogółu znosząca w cichości swój los jaki ją spotkał w związku z mężem bez serca, kobieta potrafiąca godzić poczciwie swój ideał z życiem praktycznem i jego gorzkiemi kolejami, kobieta—mówię—w takich razach nie tylko że nie jest niższą od mężczyzn, ale owszem jest ona wtedy naszym ideałem—królową—aniołem. Listu Pani umieścić nie możemy.

ROZMAITOŚCI.

— **Słoń w pługu**. Słoń jedno z największych i najsilniejszych zwierząt na świecie, który dawniej odznaczał się podczas wojen jedynie na polach walki, dziś w posiadłościach angielskich w Indjach Wschodnich używany jest przez Anglików do robót rolnych, a mianowicie do sochy.

W tym celu w fabrykach angielskich wyrabiają się dla słoni osobnego rodzaju olbrzymich rozmiarów nader mocne pługi i takowe morzem wysyłają się do Indij. Wyuczony słoń codzień z pierwszym brzaskiem słońca budzi swego opiekuna — Kornaka, trąbą swą obejmuje go w pasie, sadza go na swym grzbiecie i udaje się w pole; tam dwóch silnych robotników kieruje rękojeściami pługa, a słoń bezustanku do samego wieczora ciągnienie olbrzymi pług równając z powierzchnią ziemi rozwalone góry i pozostawiając po za sobą odwalone skiby jakby jakie nasypy, robiąc bruzdy na $4^{1}/_{2}$ stóp szerokie, a na 3 stopy głębokie.

— **Olbrzymia łaźnia parowa** jest obecnie urządzaną przy Zjeździe, na placyku od strony Bednarskiej ulicy.

Myśli i Zdania.

— Praca jest życiem człowieka.

— Kocham pracę, bo przez nią moją myśl, moje uczucia, duszę rozwijam i uwidamiam: bo ona jest uwiecznieniem mego bytu ziemi.

(Z rękopismu Czeladnika Szewckiego)

ZAGADKI.

— Co stanowi naukę?

(Dwie litery jedna na drugiej na-u-ka).

— Jakiego ptaka wypić można?

(Kawka).

— Jakiej świecy nie można zgasić?

(Niezapaloną).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.